



Specjalista od pogrzebów

Z Ignacym Walentym Nendzą, alpinistą, rozmawia Jakub Terakowski

Słyniesz z opowiadania dowcipów...

Najbardziej lubię te o sobie: „Zmarł Nendza, przychodzi do niebios bram i stuka, lecz Święty Piotr nie chce mu otworzyć. Bezskutecznie dobija się i kołacze. W końcu sam Pan Bóg usłyszał ten hałas: – A któż się tam tak tłucze? – pyta. – Waluś Nendza – odpowiada Święty Piotr. I tłumaczy: – Nie wpuszczam go, bo dla alpinistów nie mamy już wolnych miejsc. – Wpuść go – Pan Bóg na to. – Jaki tam z niego alpinista...” (*śmiech*)

Kim zatem, jeżeli nie alpinistą, jest Waluś Nendza?

Świadkiem historii, dziejów, epoki. I coraz częściej specjalistą od pożegnań... Po raz pierwszy żegnałem przyjaciela już w roku 1971. Wtedy to zespół z naszego katowickiego HKT [Harcerskiego Klubu Taternickiego], w składzie: Jurek Kukuczka, Andrzej Baran i Piotr Skorupa, podjął próbę przejścia diretissimy Kazalnicy Mięgoszowieckiej. Nikt przed nimi nie pokonał tej drogi zimą. Czasy były biedne, sprzęt byle jaki, kieszenie puste. Wielu znanych taterników wylawiało monety z Morskiego Oka, aby zapłacić w schronisku za obiad... Wielu też dorabiało, przewożąc turystów łódką, kursującą wówczas w poprzek tafli jeziora. Chłopcy rozbili namiot we wnęce pod schodami schroniska, bo nie stać ich było na pokój, i bałamucili kucharki, licząc na miskę gorącej stawy. Na Kazalnicy

wspinali się metodą „szybkiej trójki”: Jurek z Andrzejem prowadzili, a Piotr transportował sprzęt. Minęli już najtrudniejszy odcinek, gdy ławeczka z dykty, na której siedział Skorupa, nagle pękła na pół... Nazajutrz pojechałem do kostnicy. Piotr, obłożony kosówką, wyglądał, jak gdyby spał, ale tylko z prawego profilu, bo lewą połowę czaszki miał zmasakrowaną. Ten widok nadal staje mi przed oczami, ilekroć poczuję zapach kosówki... Postanowiliśmy, że zamkniemy trumnę i nie pozwolimy jej otwierać, aby oszczędzić tego koszmaru mamie Piotra i jego siostram. To był pierwszy pogrzeb w naszym środowisku.

Wielu znanych wspinaczy wywodzi się z HKT.

W przyszłym roku klub będzie obchodził 50. rocznicę istnienia. Jak powstał? Ten zakątek Katowic – Wełnowiec, Bogucice, Dąb – tworzyły biedne, robotnicze dzielnice. Na początku lat 60. prowadziłem tu drużynę harcerską. Jeździliśmy na rajdy piesze, lecz wciąż było nam mało – potrzebowaliśmy mocniejszych wrażeń. Stworzyliśmy więc zastęp grotolazów, skończyliśmy kurs jaskiniowy zorganizowany przez Klub Wysokogórski i w 1965 roku przekształciliśmy się w HKT. Kukuczka trafił do nas z Bogucic, Palus z Wełnowca, Hajzer ze szkoły nr 4. Nie miał jeszcze wymaganych 16 lat, gdy przyszedł do mnie po raz pierwszy, lecz przymknąłem na to oko i zgodziłem się, aby kurs wspinaczkowy

skończył nieoficjalnie. Umówiliśmy się, że certyfikat otrzyma w dniu urodzin, i tak też się stało. Dzień później, z „glejtem” w plecaku, pojechał na Halę Gąsienicową, na kurs taternicki.

Artura też przyszło Ci pożegnać...

Iza, jego żona, poprosiła mnie, abym zadbął o pogrzeb. – Religia nigdy nie była nam zbyt bliska, ale na pewno wiele osób będzie chciało pożegnać Artura w kościele – powiedziała. Pojechałem do księdza Puchały [ks. Stanisław Puchała do 2013 roku był proboszczem katowickiej archikatedry – przyp. red.]. Zgodził się odprawić mszę w katedrze i udostępnił pomieszczenie na stypę. To był dla mnie potężny cios. Artur nie wspiął się przez 15 lat; złościł się jednak, gdy nazywano go byłym himalaistą – i w końcu wrócił w góry. Szybko zobaczył tam żółtą kartkę: złamał nogę na Broad Peak, a pod Ciemniakiem porwała go lawina, lecz zlekceważył te ostrzeżenia. Ja również je zignorowałem. Gdy Jurek Kukuczka kompletował Koronę Himalajów i tracił kolejnych partnerów, to bałem się o niego „statystycznie”, natomiast o Artura byłem spokojny, dziwnie pewny, że nic mu nie grozi.

Skąd ta pewność?

Artur zawsze był bardzo ostrożny. Pamiętam go od naszej pierwszej wspólnej wspinaczki, gdy miał kilkanaście lat. Nawet wtedy nie ponosiła go młodzieńcza

brawura. Prowadzę ludzi w góry, chodzę z nimi, a potem żegnam... Trudna to rola. Równie trudna, jak zdobywanie szczytów. Jestem jednak człowiekiem wierzącym i stąd moje głębokie przekonanie, że tak jak nie decydujemy o tym, kiedy na ten świat przychodzimy, tak też nie mamy wpływu na moment odejścia.

Czy narażając życie w górach, nie zaprzeczamy tej zasadzie?

W górach zdarza się tyle samo tragicznych wypadków co cudownych ocalań. Mamy różne namiętności. Ktoś zrobi wszystko dla władzy, sławy lub pieniędzy, a ktoś dla gór. Jest taka znana modlitwa wspinaczy: „Od śmierci w dolinach uchroni nas, Panie”. I Bóg czasem wysłuchuje tych próśb... W latach 60. nasza koleżanka z HKT pojechała ze studentami w Tatry. Poszli na Szpiglasową. Szlak był oblodzony, pośliznęła się i zginęła na miejscu...

Myślisz, że umierając, odmawiała modlitwę wspinacza?

Kilka lat później w lawinie schodzącej Hińczowym Żlebem zginął kolejny członek HKT – Andrzej, 19-letni chłopak. Przyjechała komisja z komendy hufca, chcieli zamknąć Klub: – Za dużo tych wypadków – mówili. Wtedy w naszej obronie stanęła mama Andrzeja. Powiedziała, że nie żałuje, iż jej syn wstąpił do HKT. To były trzy najlepsze lata jego życia. Wcześniej zdążył się już związać z lokalnym gangiem; zaczęły się drobne kradzieże, rozboje, pijackie awantury. W górach stał się innym człowiekiem.

Niedługo nim był...

Siła wyższa. Ta sama lawina porwała Ryszarda Wareckiego, który żyje do dzisiaj. W Himalajach po raz pierwszy śmierć zajęła nam w oczy dyskretnie, zabierając uczestników równoległej wyprawy – Hannelore Schmatz oraz Raya Geneta [1979 rok – przyp. red.]. W bazie czekali na ich powrót małżonkowie. Gerhard Schmatz obiecał szerpom ogromną nagrodę za sprowadzenie Hannelore żywej. Jeden z nich ustanowił wtedy rekord – cztery godziny z obozu drugiego na Przełęcz Południową. Nadaremno... Później śmierć pojawiła się już wśród członków naszej wyprawy: zabrała Tadeusza Szulca, który przypuszczałnie zmarł z wyczerpania [wyprawa na Makalu w 1982 roku – przyp. red.]. Następnie żegnałem Rafała Chołdę [zginął na Lhotse w 1985 roku – przyp. red.], akurat byłem wtedy w Katowicach. Nad ranem obudził mnie telefon z Katmandu... Uczestnicy ekspedycji postanowili, że to



Andrzej Czok



Jerzy Kukuczka



Adam Bilczewski



Tadeusz Szulc

ja przekażę rodzinie wiadomość o tragedii. Już przed szóstą rano stałem pod oknami mieszkania jego matki, ale spała jeszcze, wewnątrz było ciemno. Nie chciałem jej budzić, czekałem, aż zapali się światło. Dopiero wtedy zadzwoniłem. Nie zapytała o nic, gdy zobaczyła mnie w drzwiach – zrozumiała bez słów... Jakiś czas później, podczas wyprawy do Sotano San Agustin w Meksyku, kregosłup złamał Józef Cuber [członek katowickiego Speleoklubu PTTK „Górnik” – przyp. red.]. I znów poproszono mnie, abym przekazał wiadomość rodzinie. Żona wpadła w taką histerię, że musiałem wezwać karetkę... Potem pomogłem jej zdobyć pieniądze na samolot. Poleciała i wróciła z mężem na wózku. Do dzisiaj nie stanął na nogi... Kiedyś Artur Hajzer poprosił mnie nawet o zawiadomienie o śmierci krewnych swego pracownika, który zginął w wypadku drogowym, chociaż to już nic wspólnego z górami nie miało. Uznał, że nadają się do tego najlepiej.

Dlaczego?

Bo jestem opanowany, doświadczony i „swój”, czyli godny zaufania. O śmierci Jurka Kukuczki też dowiedziałem się pierwszy; ta wiadomość przyszła do mnie jednak bezpośrednio od niego, „z góry”. Nikomu wtedy o tym nie powiedziałem, tylko żonie. Przyśnił mi się na jakiejś hali w Tatrach. – Co Ty tu robisz? – zapytałem.

– Powinieneś być przecież w Himalajach. – Wpadłem tylko na moment, pożegnać się z Tobą, i zaraz tam wracam – odpowiedział. Obudziłem się i nie mogłem już zasnąć. Cały następny dzień czekałem na wiadomość o jego śmierci. Przyszła nazajutrz... Potem się dowiedziałem, że tej samej nocy Jurek przyśnił się także pięcioletniemu wówczas Wojtkowi: – Babciu, wstawaj! – wołał malec. – Tata utknął w windzie i nie może się wydostać, trzeba mu pomóc! To był dla mnie wstrząs. Lubiliśmy się z Jurkiem pomimo różnicy charakterów. On spod znaku Barana, ja – Koziorożca; dwie rogate dusze, które bodły się czasem. On nienawidził rygoru, nie cierpiał dyscypliny. Ja, jako instruktor, starałem się dbać o porządek. Kiedyś na mikołaja dostałem od niego klucz wykonany własnoręcznie na tokarce – z dedykacją, abym „zamknął nim sobie pysk na zebraniach”. (*śmiech*)

W jednym z ostatnich wywiadów Wanda Rutkiewicz powiedziała, że więcej przyjaciół ma już po tamtej stronie niż po tej. Nie odnosisz podobnego wrażenia?

Nie, ponieważ wciąż czynnie działam w harcerstwie, więc mam wielu przyjaciół wśród młodych ludzi. Może czułbym się osamotniony, gdybym był zgorzkniałym starcem, siedzącym w domu. Ja, cóż – starcem pewnie już jestem, ale za zmierzłego się nie uważam. A największym sukcesem w moim życiu jest to, że żyję. ▶



FOT. AUTOR

Wacław Sonelski



FOT. AUTOR

Andrzej Heinrich



FOT. AUTOR

Andrzej Machnik



FOT. AUTOR

Janusz Skorek

Zdarzyło Ci się samemu otrzeć o śmierć?

Tak, ale w wodzie. Po raz pierwszy w Jaskini Trigławskiej Breznej. Zakorkowałem tam własnym brzuchem światło pionowego korytarza i woda zaczęła mnie zalewać. Sam nie wyszedłbym z tej opresji, bo się zakleszczyłem – na szczęście kolega był obok. Nie lepszą przygodę miałem w Mongolii w jeziorze Har Nuur, do którego lekkomyślnie wskoczyłem, nie sprawdzając wcześniej dna. Utknąłem w mule i w żaden sposób nie mogłem się z niego wydostać. Wyrwałem się w ostatniej chwili... Dług tlenowy zaciągnąłem wówczas taki, że potem jeszcze przez dwa dni nie mogłem złapać oddechu... Woda nigdy nie była mi przychylna, nawet w górach. Podczas wyprawy na Lhotse wskoczyłem w nurt rzeki lodowcowej, ratując tonącego szerpę. Doznałem wówczas kontuzji, której konsekwencją było zakrzepowe zapalenie żył i mięśni.

Zanosiliś wiadomości o śmierci wielu matkom i żonom. Czy Twoja rodzina nie bała się, że posłaniec stanie kiedyś w ich drzwiach?

Żona akceptuje moje upodobania – i vice versa. Jesteśmy małżeństwem partnerskim, żona też wywodzi się z kręgów harcerskich. Ciekawość świata nadal jej nie

opuszcza: jest przewodnikiem, uczestniczy w rajdach na orientację, prowadzi koło PTTK. Nigdy nie powiedziała „weto, wybieraj: albo ja, albo góry”. A czy martwiła się o mnie? Z całą pewnością; najlepiej świadczą o tym listy, które otrzymywałem nawet w bazie pod Lhotse. Przyznaję, że czasem reagowałem na nie z wręcz niestosownym przymrużeniem oka. Właśnie tam napisałem fraszkę: „Myśli żony, gdy mąż na wyprawie: / »Sukces górski może być mały / jeżeli prezent jest okazały«”.

Nie poprzestałeś na fraszkach. Znalazłem na YouTube piosenkę „Wyznanie”, podpisana: „muzyka – Ania Wiktorowicz, tekst – autor nieznan”. Czy rzeczywiście nieznan?

Ten utwór też napisałem w bazie pod Lhotse: „Wspinaczka, modlitwa ludzi wybranych...”. Po internecie krąży kilka wersji z poprzekręcanymi słowami. Co gorsza wiersz ten został przetłumaczony na angielski, opublikowany w książce McIntyre’a „Ucieczka na szczyty” i z powrotem przełożony na polski. Z trudem rozpoznałem w nim swoją myśl.

W jakich okolicznościach napisałeś „Wyznanie”?

Leżałem w namiocie i nudziłem się, bo nie mogłem chodzić po niefortunnym sko-

ku do wody, więc zacząłem pisać. Pierwsza była historia Baluni. Andrzej Heinrich, w drodze pod Lhotse, kupił za dwa podkoszulki pieska, suczkę, którą nazwał Balunia. Nie chciała chodzić na smyczy, więc nosił ją w plecaku. W bazie, dla poprawy komfortu, uwiązał ją na 10-metrowej linie. Balunia weszła na głaz i usiłowała zeskończyć, ale pech chciał, że zawisła w powietrzu. Zauważył to Wiesiek Lipiński. Przeciął sznur – i pies uciekł. Wraca Heinrich: – Gdzie Balunia? – pyta. – Czmychnęła na lodowiec – odpowiadamy. Obrócił się na pięcie i pobiegł jej szukać; do zmroku słyszeliśmy, jak krąży po okolicy i nawołuje. Wtedy napisałem ten wierszyk: „Podwójna porcja? To dla kukura [pies po nepalsku – przyp. red.]. / Co mi tam icefall, co mi tam góra! / Wierny przyjaciel to życia sens, / jeszcze dla pieska mielonki kęs. / „Balu! Balunia!” Ona nie słyszy, / poszła w Lobuche wpierniczać myszy”. Przeczytałem rymowankę po kolacji; śmiechu było co nie miara, tylko Heinrich siedział marotny. A Balunia wróciła nazajutrz sama. Następnie napisałem cykl fraszek, a potem właśnie „Wyznanie”, nazywane czasem, nie wiem dlaczego, „Modlitwą wspinacza”.

Jak sprawiłeś, że teraz jest taka znana?

Nie ma w tym mojego udziału. „Wyznanie” poszło w świat i zaczęło krążyć bez mojej inicjatywy. Sam dopiero od znajomych się dowiedziałem, że Ania Wiktorowicz (kompozytorka, wokalistka i autorka tekstów – przyp. red.) napisała muzykę do moich słów.

Nie pytając Cię o zgodę?

A jak mogła zapytać, skoro też nie wiedziała, że jestem autorem? Niech śpiewa, słucham jej z przyjemnością. ■

Wyznanie

*Wspinaczka – modlitwa ludzi wybranych,
intymnych marzeń warowny gród.
Modlitwa słów niewypowiedzianych:
„Błogosław, Panie, nasz górski trud!*

*W kurniawie, deszczu, huku lawiny
– wszędzie widzimy Twoją moc,
licząc bezsenne biwaku godziny.
Pozwól nam przeżyć i tę noc.*

*Skalistych świątyń zawieszony cień
za chwilę słońca uderzy nas blask!
Pozwól nam przeżyć szczęśliwie dzień,
niech osiągniemy ze szczytu gwiazd”.*

Ignacy Walenty Nendza, Base Camp Lhotse,
wrzesień 1979